

ANNA SAMOLIŃSKA ur. 1956; Szczecin

Tytuł fragmentu relacji	Klepsydry
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin; po 1944 roku
Słowa kluczowe	Lublin, opozycja, klepsydry, studia, aresztowanie, aresztowania, KUL, Katolicki Uniwersytet Lubelski

Klepsydry

To było ważne z tego powodu, że otworzyło nam drzwi do różnych środowisk. Po prostu umożliwiło nam poznanie mnóstwa ludzi. Bo samo to, to był w ogóle banał. Powiedzmy, w osiemdziesiątych latach wieszano plakaty, klepsydry, jakieś ulotki mnóstwo młodych ludzi i potem mnóstwo ludzi było za to tam łapanych i nie było żadnej z tego afery. To, że to było wtedy ważne, to było tak, że to był 75 rok, to było przed powstaniem KOR-u, to było zanim w ogóle jakby społeczeństwo miało świadomość, że istnieje jakaś opozycja. To był taki trochę cichy okres. Jasne, że istniało mnóstwo rzeczy, ale komunikacja między ludźmi na ten temat w skali kraju była mocno utrudniona. Właściwie nie było takich własnych środków masowego przekazu. Nawet jeśli chodzi o wydawnictwa podziemne, to jeszcze to było tak, że mało kto w ogóle kiedykolwiek się z czymś zetknął. To była raczej taka świadomość, że Rosjanie to mają samizdat, a my nie mamy nic. Ja miałam takie przekonanie. Ono mogło być zupełnie bez sensu. I potem się okazało, że jest bez sensu, bo ten samizdat, to były śmieszne ilości właściwie w skali Związku Radzieckiego. Oni nie byli wcale od nas lepsi. Ale my mieliśmy na przykład takie przekonanie, że Rosjanie to coś w ogóle robią, a my to nic. Przez niewiedzę. Przez brak komunikacji. Ale taka była sytuacja, że nie było mnóstwa stacji, gdzie można się było jakby dowiedzieć, co kto robi. Przez to takie poczucie pustyni w tym wszystkim było. Ja myślę, że było sporo takich młodych ludzi jak my, których tam łapali na różnych rzeczach, ale nikt o tym w ogóle się nie dowiadywał. I w związku z tym ludzie myśleli, że nie ma. My też. To był taki przełom, że my już byliśmy związani jakoś z Ludwikiem. Mieliśmy taki pomysł, żeby na piątą rocznicę wydarzeń grudniowych powiesić klepsydry i zamówić mszę. Jeśli chodzi o wygląd tych klepsydr, to było niepoważne. Aż wstyd jest o tym mówić, bo to były po prostu na takich kartkach A4 brystolu tuszem, pędzelkiem, namalowane w formie klepsydr, że dnia tego i tego odbędzie się msza święta w takim a takim kościele za robotników pomordowanych w grudniu 70 roku. I te klepsydry miały być takim ogłoszeniem o tej mszy świętej, która się tam odbędzie za pomordowanych robotników w Gdańsku i w Szczecinie. Zamówiliśmy, żeby już nie w Ludwika klasztorze jakby to wszystko, to zamówiliśmy tą mszę u karmelitów. Ta koleżanka, z którą mnie wtedy złapali, była z Gdańska. A był z nami jeszcze taki chłopak, później znany działacz, Marian Piłka. I on był wtedy na historii rok wyżej od nas: my byliśmy na drugim roku, a on na trzecim. Albo my na pierwszym, on na drugim. Ja już nie pamiętam. No i to było w sumie parę tych klepsydr. My żeśmy oczywiście nie

przewidzieli tego, że w ogóle kogoś to może zainteresować, że je wieszamy i że nas zaraz zgarną. Ale nas zgarnęli i potrzymali nas 48 godzin. Wszczęli śledztwo w ogóle w tej sprawie. Także nawet dosyć poważnie tą sprawę potraktowali. Mieliśmy dużo szczęścia. Myślę, że największe znaczenie miało to, że wtedy odbywał się równolegle mniej więcej proces Staszka Kruszyńskiego, kolegi też z KUL-u, który miał sprawę tutaj, przed sądem i ona też była już jakoś znana wśród studentów i myśmy na ten proces chodzili. Coraz więcej osób na każde kolejne posiedzenie tego sądu. Sprawa była śmieszna, bo to było za „rozpowszechnianie fałszywych informacji mogących wyrządzić poważną szkodę państwu” w listach do żony. Prywatnych. Więc taka skandaliczna właściwie sprawa. Zaczęła Wolna Europa na ten temat dużo mówić i jakoś ten Lublin zaczął tutaj być głośny. Być może musieli się z tego tutaj ci ubecy tłumaczyć, bo to jednak była taka skandaliczna dosyć sprawa. On wyrok zresztą dostał, 10 miesięcy chyba bezwzględnego więzienia. I być może, ja tak to teraz oceniam, było tak, że ta nasza sprawa znowu za te 7 klepsydr ogłaszających o mszy, którą oni wszczęli, mieli dowody, wszystkie przedmioty i tak dalej, i z ich punktu ona jak najbardziej się nadawała do tego, żeby nam jakieś wyroki za to zrobić, natomiast pewnie była też dosyć śmieszna w świetle tamtej. Tak to rozumiem w tej chwili. I rzeczywiście umorzyli tę sprawę, puścili nas. Natomiast poznaliśmy Bogdana. Potem poprzez Bogdana poznaliśmy – no i przez Ludwika również – chłopaków i dziewczyny jakieś też były chyba tam z Gdańska, w każdym razie wcześniejsze ekipy, które były u ojca Ludwika, jak on był jeszcze w Gdańsku. I to dało już później taką znajomość w ogóle tutaj tej mapy politycznej trochę podziemnej Polski, że okazało się nagle, że tutaj ten, tutaj ten, że coś się jednak dzieje. Zaczęliśmy wiedzieć o różnych spotkaniach, rzeczach, które się dzieją, których przedtem nie wiedzieliśmy. To się tak po prostu geometrycznie zaczęło rozszerzać tutaj możliwości w ogóle działania.

Te klepsydry wieszaliśmy tak właściwie w okolicy kościołów, dlatego że na kościołach zawsze różne klepsydry wisiały, że ktoś umarł. Uznaliśmy, że one tam nie będą zwracać takiej uwagi, że coś jest nie tak i że w takim miejscu można taką klepsydrę powiesić. I tak na Poczekajce, gdzie akademik KUL-u, w centrum, na LSM-ie. Na LSM-ie to chyba ostatnia. Z tym, że na LSM-ie podkusiło nas, żeby powiesić w takiej gablocie Spółdzielni Mieszkaniowej. I tam nas chyba złapali przy tej okazji. Ale trudno powiedzieć, czy wcześniej jakoś tam nas nie obserwowali. Wybraliśmy fatalną porę na to wieszanie, bo już był wieczór późny. To trzeba było robić w dzień, kiedy dużo ludzi jakoś. No ale nie byliśmy jeszcze tacy zorganizowani z tym wszystkim. W każdym razie nas złapali. Radiowóz podjechał, wyskoczyło trzech, wpakowali nas do tego radiowozu i zawieźli nas najpierw na Lipową na posterunek, gdzie zostawili nas na korytarzu. I Marian zaczął wyciągać z kieszeni wszystkie zapiski, czy tam nie ma jakichś adresów. I w każdym razie najpierw powyciągał to z kieszeni i wsadził to do buta. Tak powstał chwilę. Widać, że cały czas głowa pracuje. I w pewnym momencie wyjął z tego buta i zaczął to zjadać. To nas potwornie rozśmieszyło.

Rozmowy z milicjantami – teraz mi się wydaje, że to było tylko śmieszne. To oczywiście był pewien szok, bo jednak nigdy nie miałam wcześniej z nimi do czynienia i byłam dość naiwną dziewczynką, oczywiście. To znaczy, tłumaczyłam im długo, dlaczego ja im nie mogę powiedzieć, kto u nas był wtedy w domu. Bo tam było ileś szklanek. Nas złapali troje, ale tam jeszcze chyba jakiś chłopak z nami to planował. Ja nawet nie pamiętam już w tej chwili, kto to był. Ale oni bardzo chcieli wiedzieć, kto tam jeszcze siedział, co w ogóle nie miało żadnego znaczenia. Miałam takie poczucie, że ja nie będę im mówić, kto z nami jeszcze siedział, żeby go oni wzywali, bo bo ja coś powiedziałam. Więc ja mówiłam: „No tak, no tak, to moje klepsydry”. Trzeba było oczywiście powiedzieć „Pierwsze widzę” albo „W ogóle odmawiam wyjaśnień” i tak dalej. No ale to potem się różne rzeczy wiedziało. Oni bardzo chcieli, żeby rozszerzyć tutaj – a kto nam kazał

jeszcze i tak dalej. No i ja im tłumaczyłam, że nie mogę. Bez sensu zupełnie. Oni dobrze rozumieli. I takie to było. Tak w zasadzie nic nam takiego nie zrobili. Nawet ja nie pamiętam, żeby byli jacyś tam brutalni. Pamiętam takiego, to chyba był Trąbka, że on wszedł na chwilę i zaczął wrzeszczeć. Ale właściwie tyle. Ja nie miałam takiego poczucia fizycznego zagrożenia. Chociaż oni w pewnym momencie próbowali coś takiego zrobić, to znaczy, wszedł jeden i powiedział: „No, tu nie chcą nic mówić. Zaraz pod prąd ich będziemy podłączać.” Więc tak nie bardzo sobie to wyobrażałam. To jednak były 70. lata, biurowy pokój, a tu gdzieś jakiś prąd. I mówi tak: „Tylko to urządzenie musimy wyjąć”. I taka szafa była pancerna. On mówi: „Wiesz, to ja mam tutaj schowane w tej szafie, ale nie mam klucza”. I zaczął jakąś agraftką, że niby on otwiera. Jakieś takie zupełnie absurdalne rzeczy. Za chwilę wyszedł ten, co to niby otwierał i przyszedł, i mówi tak: „Tamci podłączeni pod prąd śpiewają wszystko”. Wiem, że mnie to zdanie strasznie tak jakoś nerwowo rozśmieszyło. No ale to był jedyny taki incydent, a tak to raczej nie. To było takie męczące, nudne. Oczywiście ta cęła zrobiła na mnie pewne wrażenie na Narutowicza, gdzie mnie wsadzili, bo tam były dwie takie dziewczyny. One mówiły, że siedziały za pobicie milicjanta, że tam butelką w głowę, coś takiego. Takie młode dziewczyny. Chyba takie jakieś prostytutki zawodowe tak na oko. Tak się zachowywały. Ale zachowywały się też w stosunku do siebie w taki sposób, się całowały tam na przykład. I ja tak się trochę czułam nieswojo, ale mimo wszystko, w stosunku do tych ubeków, którzy na górze tacy byli niby grzeczni i tak dalej, a te dziewczyny, które potwornie tam klęły, właśnie się całowały, robiły sobie jakieś sznyty agraftkami i to było bardzo nieprzyjemne, bo tam było brudno, to jednak były jakoś takie swoje mimo wszystko. Jakie one by nie były, ale to nie są ubeczki. Oczywiście nie wiadomo, dlaczego oni mnie wsadzili akurat do takich dziewczyn. I one mi mówił, że będę miała fajnie. Małolat to dostaje więcej margaryny, czy coś takiego. Takie kryminalistki były.

Po 48 godzinach nas po prostu wypuścili nic nie mówiąc, ale na drugi dzień wezwali na ósmą rano. I tak przez dwa tygodnie chodziliśmy tam na ósmą rano, mieliśmy wezwanie i siedzieliśmy do trzeciej, i nas puszczali. Właściwie siedzieliśmy na korytarzu głównie, bo już nie było sensu rozmawiać. Bo jak już żeśmy wyszli, ochłonęli, no to już po prostu koniec. Odwołaliśmy wszystko. W każdym razie już żadnych rozmów więcej nie było, bo „Odmawiam. Odmawiam. Nie pamiętam”. Więc już też im się to znudziło, więc właściwie siedzieliśmy na korytarzu głównie jako taka represja właściwie. I to już takie było męczące, ale już zupełnie niepoważne.

Jeśli chodzi o konsekwencje na uczelni, to oczywiście informacje te dotarły do rektora. Ubecy to wykorzystywali zawsze przeciwko władzom uczelni, żeby pokazać im, że „O, proszę, tutaj wasi studenci nam robią wbrew” i zawsze było coś za coś. My mieliśmy poczucie bezpieczeństwa, że nie mogą nam zaszkodzić na KUL-u. Nie do końca słusznie, bo wcale władze KUL-u nie były zadowolone z takich ekscesów, ale było wiadomo, że nie mogą tutaj jakby specjalnie gnębić. Chyba też tak po ludzku nie chcieli. Bo to z jednej strony było im tam niekorzystne, a drugiej strony Wolna Europa już oczywiście o tym mówiła. Więc dla KUL-u to było tak: z jednej strony niekorzystne, bo tu jakaś budowa frontonu, mogą zabrać cegły, więc w tych przetargach to było jakby minus. A z drugiej strony oczywiście na świecie to było „No, studenci KUL-u, tacy odważni”. Więc jechał rektor jeden z drugim i mówi: „Tak, to moi studenci”. Taka gra jakaś się toczyła. Natomiast tutaj ja wiem, że jak wróciliśmy po tym wszystkim, to wezwał nas rektor Krąpiec. Ja byłam na filozofii, więc miałam z nim zajęcia no i już taki był bezpośredni kontakt. Egzaminu u niego zdawałam. I że on tu uzgodnił właśnie z milicją, że kuratora będziemy mieć. Dwóch właściwie kuratorów. Strasznie mnie to wkurzyło, że w ogóle jestem dorosła, to nie jest szkoła. Co to w ogóle za forma – że kuratora? I dwóch kuratorów dostałam. To był ksiądz Waszkinel i pani Buczek od logiki. Bardzo miła kobieta. Od razu przy pierwszej rozmowie z panią Buczek powiedziałam, że to w ogóle jest fikcja. Ona powiedziała, że ona wie, że to jest fikcja, że bym się

w ogóle tym nie przejmowała. Zgodziła się to podpisać i koniec. I chciałam to samo załatwić z Waszkinelem. Wiem, że poszłam do niego. On to pamięta tak – bo ja potem z nim rozmawiałam – że ja po prostu weszłam, potwornie na niego nakrzyczałam i wyszłam. I być może to w ogóle tak było. Być może. W każdym razie strasznie mnie to zdenerwowało i się tam awanturowałam, ale to żadnych konsekwencji nie miało, bo oni faktycznie żadnymi kuratorami moimi nie byli. To była fikcja zupełna. Ale w papierach coś takiego zostało.

Data i miejsce nagrania	2007-12-06, Lublin
Rozmawiał/a	Wioletta Wejman
Transkrypcja	Magdalena Kożuch
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"